

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.



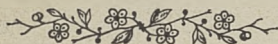
Odpoczynek Św. Rodziny podczas ucieczki do Egiptu.

Obraz nagrodzony na konkursie Szkoły Rysunkowej w 1905 r.

DOLA.

Od świtań aż do zmroku,
 Od zmroku do świtania,
 Szuka piosnka od roku
 Gdzie wesołość się schrania...
 I pyta: Jasna dolo!
 Gdzie twe błyski i śmiechy?
 Gdzie serca, co nie boją,
 Gdzie zaciszne są strzechy?
 Gdzie jesteś, zgodo święta,
 Co koisz trud i mękę,
 Co w miłości poczęta
 Dłoń w bratnią składasz rękę?..
 Gdzie jesteś ognisk ciszo,
 Po walce i po znoju,
 Gdzie skrzydła twe kołyszą
 W sen spocznień i pokoju?..
 — Do wszystkich wrót kołaczę
 Do wszystkich idę doli,
 I wszędy dusza płacze,
 I wszędy serce boli!..
 I wszędy drżące wargi
 Ślą niebu serc błaganie:
 „Ach, ucisz walk zatargi!
 I wolność daj nam, Panie!..“

Ida Pilecka.



M. DYNOWSKA.

Obrazy z piśmiennictwa Polskiego.

ŁUKASZ GÓRNICKI.

(Ciąg dalszy.)

„Nasz Polak by jeno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić jedno tym językiem, gdzie troszkę zmieszkał. Jeżeli był we Włoszech, to za każdym słowem: Signor, jeśli we Francyi to: par ma foi, jeśli w Hiszpanii, to: nos otros cavaglieros; a czasem drugi, chociaż nie będzie w Czechach, jedno, iż granicę Śląska przejedzie, to już inaczej nie będzie chciał mówić, jedno po czesku, a czeszczyzna, wie to Bóg, będzie jaka, a jeśli mu rzeczesz, żeby swym językiem mówił, to powiada, iż zapomniał, albo, że mu się przyrodzony język prawdziwie gruby widzi, czego dowodząc wyrwie jakie staropolskie z Bogaro-

dzicy słowo, a czeskiem jakim gładkiem słówkiem na sztych je wysadzi, aby swego języka grubość, a obcego piękność pokazał...“

„Tu pan Aleksander Myszkowski powiedział: Tedy się to W. M. nie podoba, kiedy Polak bierze z czeszczyzny obce słowa. Odpowiedział pan Kryski: niema się co podobać, kiedy kto, mając własne polskie słowo, zarzucawszy ono, pożyczą na jego miejsce cudzego języka, bo oto jest nie inaczej, jeno jako kiedyby kto Polaki wyganiał z ziemie, a Czechy do niej przyjmował, w czym jaki byłby rozum, wie to każdy. Prawda to jest, gdzieby słowa polskiego nie było na tę rzecz, którąby Polak ochrzcić miał, albo w przetłumaczeniu jednego w drugi potrzebowałby cudzego słowa — nie tylko tego nie ganię, kiedy z tak podobnego mowie naszej języka, jako jest czeski, weźmie słowo, ale też i z łacińskiego, zwłaszcza jeśliby łatwe było ku zrozumieniu, albo już nieco utarte, wziąć mu pozwalam. Także podobno nasi mówcy polscy sławni czynili, czego nie rozumiejąc, dzisiejsi jeli niewstydliwie w swój język kłaść dziwne słowa cudzoziemskie, a miasto słów wybornych polskich kłaść czeskie, dobrze niż nasze podlejsze. Zatem to idzie, iż tych naszych a swych Cyceronów, mało co rozumiemy. I mniemają oni, by to był największy rozum tak mówić i tak pisać, jakoby abo mało ludzi, abo żaden nie rozumiał: wczem jako błądzą, znacie to W. M. dobrze sami.“

A teraz przystępujemy do tej pracy Górnickiego, która nam powie, jak zapatrywał się on na stan społeczeństwa swego, jakich zmian i reform dla tego społeczeństwa pragnął. Kara pieniężna za zabójstwo, z którą tak wytrwale walczył Modrzewski i Górnickiego oburza. Oburza go również i boli swawola szlachecka, która hamulca żadnego nie mając, prawu bezkarnie uraga, i słabość tego prawa, co energicznej władzy wykonawczej pozbawione, bez należycie ustanowionych sądów i trybunałów, bywało najczęściej martwą literą wobec szlacheckiego zuchwalstwa. Nęka go wreszcie brak wojska stałego na granicach, na których Tatar hulał bezkarnie i wieczysta pustka w skarbie królewskim, którego brat-szlachcic nie zasilał prawie, ciężar podatków na kmieci i nieszczen spychając.

A elekcyje? Trzykrotnie patrzył na nie Górnicki. Znał ten tłum szlachecki, często ciemny, a niezgodny prawie zawsze, od którego woli wybór przyszłego monarchy zależał.

Rozumiał, że szara ta masa stać się może bardzo niebezpiecznem narzędziem w ręku ludzi złych i ambitnych, którzy przy elekcyi

nie dobro kraju, lecz interes osobisty zechcą mieć na celu. I danem mu było dożyć chwili, która sprawdziła jego obawy, gdy po śmierci Stefana Batorego samowola Zborowskich, niecząc wojnę domową, kraj krwią oblała.

Poznaawszy istniejące zło, zapragnął Górnicki z niem walczyć i w celu tym napisał w pierwszych latach panowania Zygmunta III-go: Rozmowę Polaka z Włochem o elekcyi, o wolności, o prawie i obyczajach polskich. Z dzieła tego przytoczę wam te ustępy, które poglądy autora wyraziściej malują.

Rozmowa toczy się na sejmie elekcyjnym po zgonie Stefana Batorego. Polak jest oczywiście zachwycony istniejącym w kraju porządkiem, na którego mocy „do elekcyi każdy tu należy, a waży zarówno głos najuboższego szlachcica, jak i największego pana“.

Włoch zbija jego zachwyty, wykazując, że swoboda wyboru jest pozorną, w gruncie bowiem ten Pana wybiera, kto większy poczet ma i większą liczbę stronników skupić koło siebie zdoła. Przytem z tłumnego obierania bezład jeno i niesnaski wynikają, gdyż trudno tam porządek być ma, gdzie wszyscy rządzą, a pospólstwo, zwierzę jest o głowach wielu, przeto nie łatwo go ukrócić.

Po elekcyi przychodzi kolej na inne błędy społecznego ustroju, a nadewszystko na osławioną wolność szlachecką, którą właściwie samowolą i bezkarnością wobec prawa zwaćby trzeba:

Włoch: Iżes głośno zakrzyknął o wolności, pytam, nie maszże czem innem jej pokazać jeno tą twoją elekcyą króla?

Polak: Aż krom elekcyi nie znana i rozsławiona jest po świecie wolność nasza.

Włoch: Nie bardzo sobie ta szlachta teraz koło Warszawy tę wolność chwali, którym co się w domach, co na polach, co w lasach dzieje, jasne są rzeczy, a mordy ustawiczne w mieście widzi każdy. A pytasz aż to nie jest niewola, gdy u moich okien kto strzela, woła, huczy, pije, trąbi, w bębny kołacze, a mnie spać nie dopuszcza, co jeszcze we dnie idę sobie, albo jadę, ale kule z półhaków mimo ucha lecące wczora podle mnie dwu, przedemną jednego ubiły; aż to nie jasna niewola — być w ustawicznej trwodze i nie móż ani jeść ani spać bezpiecznie?

Polak: Takci to teraz być musi, gdy Pana nie mamy, ale gdy nam da Pan Bóg Pana, wnet to ustanie.

Włoch: Jużem ja tu był za kilku królów, a inaczej nie pamiętam, jedno, że bywało zawsze takie zuchwalstwo, a jeśli nieco przy dworze marszałek hamować mógł, że mężobójcę na gardle skarał, tedy przecie nigdy opatrzyć

tęgo nie mógł, żeby ludzie niewinni, pod bokiem królewskim bezpieczni byli zdrowia swego, ażeby bez huków, krzyków, strzelania wysiedzieć kto mógł, o tem ani pomysleć.

Prawda jest, iż są wszędy złočynystwa, ale u was wolno jakoby źle czynić, a indziej nie wolno, więc jeśli ty to wolnością zowiesz, móż źle czynić, tedy to jest co inszego, niż wolność.

Miary we wszystkich potrzeba rzeczach, a wolność ta tylko wolnością ma być zwaną, której rozum, nie zmysły, nie namiętności panują, albowiem móż źle czynić, szaleństwo to jest, nie wolność“.

Na tem skończymy. Sądę, że powyższe ustępy wyjaśniły wam dostatecznie kierunek myśli autora.

Dopełnieniem rozmowy była „Droga do zupełnej wolności“, w której w dalszym ciągu o poprawę praw i obyczajów woła Górnicki: i „Polak Polakom po polsku pisząc“, pragnie „by się co w pośrodek podało“ do poratowania pospolitego dobra, gdyż „początek zdrowia jest, jeśli kto czuje, że mu potrzeba lekarza“.

Po 1589 roku powstały „Dzieje w koronie polskiej“ od 1538 do 1572 roku doprowadzone. Tytuł dzieła tego łudzi nas trochę. I uzdolnienie umysłowe pisarza i znajomość spraw publicznych, którą przy boku kanclerza, a potem na królewskim dworze zdobyć musiał, — wszystko to każe nam się spodziewać poważnej, wyczerpującej historycznej pracy.

(d. n.)

J. WABNER.

Koleżeństwo szkolne.

Obraz dram. z przed 40 laty w 1 akcie.

(Ciąg dalszy.)

SCENA VII.

Dziecewicz, później Staś, Hipcio, Izydorek i drudzy uczniowie).

Dziecewicz (do siebie).

No, moje dzieci, dowiemy się przecie, jak w sprawie takiej postąpić umiecie.

(*Wchodzi Staś, Hipcio, Izydorek i reszta uczniów).*

Słuchajcie chłopcy. Wszak wam obiecałem Przebaczyć winę, tylko zażądałem, Żeby sam winny przyznał się do błędu, Nie zrobił tego. Teraz nie mam względu.

Na rękę Hipsia znajduję ślad winy,
Jeszcze się stara wyprzeć. Z tej przyczyny
Z waszego odtąd wykreślam go grona.
(Wychodzi na prawo. Pomiedzy uczniami
niepokój. *Hipcio* na boku oczy z łez ociera).

SCENA VIII.

Ciż bez Dziecewicz.

Izydorek.

To sprawiedliwość dopiero uczona!

To chyba żarty.

Stas (podbiegając do *Hipsia*).

Żarty niezawodnie...

Zobaczysz, *Hipciu!* (*Hipcio* wychodzi, za
nim *Stas* i *Izydorek*).

SCENA IX.

Uczniowie sami.

Uczeń I-szy.

Ależ to niegodne

Ze szlachetnością pana *Diecewicza!*

Tak krótko skończył jakby palnął z bicia,

On, co tak zawsze dobry, sprawiedliwy!...

Uczeń II-gi.

To prawda, widzisz, ale to nie dziwy..

Kolski tak dla nas serdecznie pracuje,

A za podziękę niewdzięczność znajduje.

Uczeń III-ci.

Prawda: niełatwa dla *Hipsia* obrona.

To najdrażliwsza *Diecewicza* strona...

On najzawzięciej zazwyczaj powstaje

Na niewdzięczników.

Uczeń IV-ty.

Wiecie? mnie się zdaje,

Że bardzo dużo jest nieuczciwości

Ze strony *Stasia*.

Uczeń I-szy.

Przecież nie ze złości

Zrzucił kapelusz.

Uczeń IV-ty.

Więc cóż? więc wydać?

Uczeń II-gi.

Nie, lecz jabym przecie

Inaczej zrobił. (Wchodzi *Diecewicz* z prawej strony).

SCENA X.

Ciż i Dziecewicz.

Diecewicz.

O czym sejmujecie?

Uczeń IV-ty.

Bo nas to, panie, bardzo ciężko boli,

Że *Hipcio* za ten krok cudzej swawoli

Pada ofiarą.

Diecewicz.

Cudzej? — O! to słowo

Każdy powtarza, lecz gdy przyjdzie głową

Choćby za własną nałożyć mu psotę.

Przyznać się nie chce... Kolski — serce złote...

Musiałem srogo skarcić niewdzięcznika!

Uczeń I-szy (okrażając z drugimi *Diecewicza*).

Szanowny panie, serce nam przenika

Głęboki smutek, że to zło się stało

Przebacz mu, panie; masz duszę wspaniałą.

Diecewicz.

Nie mogę, chłopcze. Niewdzięczność, kłamstwo,
To ciężkie winy...

Uczniowie (razem).

Przebacz, dobry panie!

Diecewicz (ostro).

Postanowione i tak już zostanie.

(*Diecewicz* wychodzi na prawo).

SCENA XI.

Uczniowie sami, później *Izydorek*.

Uczeń I-szy.

O, biedny *Hipcio!*

Uczeń II-gi.

Bardzo źle się stało.

(Wchodzi *Izydorek*).

Izydorek.

No! opowiedcież mi przecież rzecz całą:

Przebaczył, czy nie?

Uczeń III-ci.

Mówić sobie nie da.

Izydorek.

A wiecie, bracia, to prawdziwa bieda,

Koniecznien nad tem trzeba się naradzić

Jak *Hipsia* zbawić, a *Stasia* nie zdradzić.

Uczeń I-szy.

Ale jak radzić?

Uczeń II-gi.

To rzadkie zdarzenie.

Uczeń III-ci.

Prawda.

Izydorek.

Nieszczęsne *Hipsia* położenie!

Uczeń I-szy.

Jak jego matka — cierpieć musi srodze.

Uczeń II-gi (po krótkim milczeniu, w czasie którego wszyscy stoją w kłopotliwym zamysleniu).

Wiecie? my pono nie na dobrej drodze

Pomiedzy sobą przyjaźń rozwijamy.

Ja czuję w duchu wewnętrzne wahanie,

Czy gdy takiego coś, jak dziś, się stanie,

(Choć jabym nigdy nie dopuścił tego)

Skrywać należy prawdziwie winnego.

Izydorek (żywo).

Więc któż go tedy, proszę ciebie, wskaże?

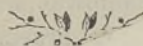
Ja? — O! ja nigdy!

Uczeń I-szy (j. w.).

I ja się nie ważę!

Uczeń IV-ty (j. w.).

I ja nie!



Czternastoletni wojownik.

(Z życia młodego chłopca w czasach 1812--1815)

przez M. Strebejkową.

(Dokończenie.)

ROZDZIAŁ V.

Waterloo.

Po bitwie pod Lipskiem, Napoleon opuścił wreszcie zlaną krwią walecznych Saksonię, i cofnął się pośpiesznie do Francyi, a z nim kilka tysięcy wojska polskiego pod dowództwem księcia Sułkowskiego. Krok w krok ścigali go sprzymierzeni. Na granicy Francyi zaszła utarczka, w której młody sierżant, zmęczony forsownymi marszami, ciężko został ranny. Na pół martwego Pawełka zabrano do ambulansu, i żeby nie troskliwa opieka brata, umarłby na pewno, osłabiony wpływem krwi i wycieńczony niewygodami kampanii. Lecz starszy brat, wówczas już kapitan, zaopiekował się nim serdecznie; po kilku miesiącach chory szczęśliwie, gdyż bez kalectwa wyzdrowiał.

Sprzymierzone wojska austriackie, rosyjskie i pruskie w marcu 1814 r. obległy Paryż, pomimo cudów strategii ze strony Napoleona, Józef Bonaparte, brat, nie chciał, czy nie zdołał bronić stolicy, Paryż niespodzianie kapitulował. Napoleon abdykował w kwietniu w r. 1814 na rzecz swego syna, lecz matka małego Napoleona, księżniczka austriacka rodem, zabrała go do Wiednia.

Sprzymierzeni osadzili na tronie Francyi Ludwika XVIII-go, brata Ludwika XVI, Napoleonowi wyznaczili na pobyt wyspę Elbę na morzu Śródziemnem.

Monarchowie sprzymierzeni, urządziwszy w ten sposób sprawy Francyi, zjechali się na kongres do Wiednia, aby uporządkować Europę, której podział geograficzno-polityczny podboje Napoleona zupełnie zmieniły.

Lecz gwiazda wygnanego mocarza nie zgasała jeszcze. Orlem okiem obserwował bacznie z swej wyspy, co się dzieje we Francyi i w Europie. Wiedział, że wojsko francuskie pójdzie za nim w ogień i wodę, czuł, że monarchowie i dyplomaci radzą w Wiedniu, a więc są dosyć daleko od Francyi, i postanowił odzyskać utraconą władzę.

Z wiosną roku 1815-go najniespodziewaniej wylądował Napoleon w południowej Francyi: jak bryła toczona po śniegu rósł jego hufiec po drodze do Paryża, witany powszechnym

zapalem, wojsko stanęło po jego stronie i Ludwik XVIII-ty coprędzej kraj opuścił.

Co się przez ten czas działo z naszym bohaterem? Chorował kilka miesięcy, bo choć rana się zagoiła, gorączka wyniszczyła młody jego organizm. Nie można było myśleć o przeniesieniu go do ojczyzny, więc kapitan Ch. postanowił Pawełka jako rekonwalescenta zatrzymać jeszcze jakiś czas we Francyi, zanim sił nabierze.

Po abdykacyi Napoleona w 1814 roku wielu oficerów wielkiej armii podało się do dymisyi, między innymi pułkownik L. przyjaciel kapitana Ch., który mu w czasie ostatniej kampanii dwukrotnie życie ocalił.

Pułkownik L. znał i lubił Pawełka, gdy kapitan Ch. powiedział przyjacielowi swe zamiary względem brata, mówiąc, że chciałby go umieścić na parę miesięcy w jakiej porządnej rodzinie, aby się wzmocnił przed podróżą do kraju. Pułkownik L., mając posiadłość ziemską o kilka mil od Paryża, po wzięciu dymisyi chciał się usunąć w zacisze wiejskie i tam odpocząć po przebytych trudach, zaproponował więc kapitanowi Ch., że z przyjemnością zabierze Pawełka do swego domu, bo sprawi tem wielką radość swemu trzynastoletniemu jednynakowi. Propozycję bracia przyjęli z wdzięcznością. Na wsi oczekiwano już naszego bohatera, bo pułkownik opowiedział synowi o kampaniach młodziutkiego sierżanta, o jego roztropności w niewoli i odwadze na polu bitwy. Błado i szczupło wyglądał teraz Pawełek, to też zacna pułkownikowa L. zajęła się nim jak własnym synem. Pielęgnowała, odżywiała, a jednak pokochał go serdecznie, i gdy Pawełek po trzech miesiącach pobytu w gościnnym domu pułkownika nabrał sił i miał odjechać, chłopiec słyszeć nie chciał o odjeździe towarzysza.

Młodzi przyjaciele uczyli się razem, jeździli konno, bawili się wesoło i Francuzik tak się przywiązał do Pawełka, iż na wszystko prosił rodziców, aby mógł z nim razem odbyć nauki. Pułkownikowość L., widząc jaki dobry wpływ na ich jedynaka miał Pawełek, nakłonili kapitana Ch. aby im zostawił młodego wojownika jeszcze na parę miesięcy; w ten sposób zeszło do wiosny roku 1815-go i do wylądowania Napoleona. Jakby piorun uderzył we wszystkich wojkowych!

Pułkownik L., zagorzały bonapartysta stanął przy Napoleonie. Pawełek znów wstąpił w szeregi. Lecz obradujący w Wiedniu monarchowie postanowili wszcząć wojnę na nowo.

Władza Napoleona trwała tym razem tylko sto dni. W Belgii, dokąd poprowadził Napoleon wojska swe przeciw Anglikom i Au-

stryakom, aby uprzedzić nadciągnięcie reszty sprzymierzonych, po kilku zwycięstwach jego nad Prusakami rozegrała się słynna bitwa pod Waterloo. Anglicy zostali już pobici, stara gwardya Napoleona dokazywała cudów waleczności, gdy nadeszła z boku niebacznie przepuszczona przez generała Grouchy'ego armia pruska.

Zmęczeni i mniej liczni Francuzi nie mogli podołać nowym zastępom i nastąpiła klęska. Runęło dzieło lat piętnastu... Nasz bohater uwijał się dzielnie w tym strasznym dniu i na polu bitwy otrzymał rangę oficerską.

Po powrocie do Paryża Napoleon nie chciał dalej narażać swego kraju na ciężką i niepewną wojnę, ufając szlachetności Angli-

przebacząc Pawłkowi tajemne opuszczenie domu.

W kilka tygodni po przyjeździe synów pojechano do stryja prałata i tam złożono radę familijną. Wskutek ofiar na cele narodowe, podatków i kontrybucyi ze sporej fortuny dwie tylko wsie pozostały pani Ch., uradzono więc, że kapitan Ch. obejmie jedną położoną w Piotrkowskiem, drugi brat Michał pozostanie wraz z matką w rodzinnej wsi koło Krzepic, trzeci Jan pójdzie do palestry do Piotrkowa, a Pawełek wstąpi do wojska. Lecz rana w nodze otrzymana pod Waterloo, nie była jeszcze dostatecznie zagojona i pani Ch. postanowiła, aby Pawełek czas jakiś pozostał w domu, dopóki zupełnie się nie wyleczy i nie wzmacni.



Indyane na samochodzie. (patrz str. 32).

ków—oddął się im dobrowolnie, lecz ci haniebnie z nim się obeszli. Wywieźli go na skwarłą afrykańską wyspę Św.-Heleny; najniepotrzebniej mszcząc się za trwogę kilkoletnią, strzegli go i pilnowali jak niebezpiecznego zbrodniarza, aż z tęsknoty za synem i Francją umarł po kilkoletnim wygnaniu w 1821 r.

ROZDZIAŁ VI.

W szkole podchorążych.

Po ostatecznym upadku Napoleona obydwa bracia Ch. powrócili wreszcie do kraju. Ojca nie zastali przy życiu, a matka mniemała, że już nigdy nie ujrzy synów — wojowników. Ze łzami radości witała ich, z całego serca

Wskutek reformy szkół dokonanej przez księdza Konarskiego i Komisję Edukacyjną, nauki dosyć wysoko stanęły w ostatnich latach Rzeczypospolitej. Nie brakło nawet dobrych podręczników. Pawełek, chociaż przeszedł Europę od Dniepru do Sekwany i wybornie mówił po francusku, rozumiał, że bez gruntownych wiadomości nie zda egzaminu do żadnej wyższej szkoły. Stosując się więc do woli matki, aby czas dłuższy pozostał w domu, postanowił zabrać się do nauki.

Na szczęście proboszcz miejscowy był światłym człowiekiem, wychowawcem szkół piarskich, Pawełek brał od niego lekcye historii, geografii, matematyki i języka polskiego.

Zaczęła się więc prywatna, ale bardzo porządnie prowadzona edukacja. Ponieważ noga Pawełka nie była jeszcze zupełnie zdrowa, więc przez pierwsze miesiące ksiądz proboszcz co drugi dzień przychodził na lekcye do dworu. Znajdował Pawełka zawsze wybornie przygotowanego, gdyż bohater nasz zrozumiał znaczenie wiedzy, a bystry i zdolny z natury szybkie robił postępy. Zaczynał pokochać szczerze swego ucznia i nie mógł go się dosyć nachwalić przed matką i starszymi braćmi. Tak upłynęły dwa lata, a minęły szybko dla Pawełka. Był to już rok 1818. Rząd Królestwa Kongresowego założył właśnie w War-

odwiedzał strony rodzinne, witany zawsze serdecznie przez braci i zacnego proboszcza.

* * *

Wojsko polskie należało między 1820 a 1830 do najlepszych w Europie. Wykształcone w tradycjach napoleońskich posiadało obok odwagi, sprawność i znajomość rzeczy. Nie było liczne, bo i same Królestwo Polskie Kongresowe nie było rozległe, a powszechna służba wojskowa jeszcze nie istniała w żadnym państwie z wyjątkiem Prus.

Gdy nastąpiło powstanie listopadowe i wojna z Rosją, wojsko polskie zdaniem nawet hi-



Jan Matejko.

Wciąganie nowoodlanego dzwonu, słynnego Zygmunta, r. 1520 w Krakowie.

szawie szkołę podchorążych dla kształcenia oficerów, a że bohater nasz przekładał zawsze zawód wojskowy nad inne, postanowił wstąpić do tej szkoły.

Dotąd znał wojskowość praktycznie, teraz pragnął poznać ją teoretycznie, więc choć do szkoły podchorążych przyjmowano podoficerów, a Pawełek był nawet oficerem, jednak wstąpił tam, żeby wykształcić się gruntownie.

Chudo żywiono w szkole młodych podchorążych, ale instruktorowie byli zdolni i energiczni, Paweł inteligentny i zamiłowany w wojskowości skończył ją dobrze, z celującymi stopniami zdał egzamin na oficera i został zaliczony do pułku stojącego w Warszawie. Wkrótce potem stracił matkę, więc raz tylko na rok

storyków i pisarzy wojskowych rosyjskich — walczyło znakomicie, lecz w końcu uległo przeważającej sile. Nasz bohater już w stopniu majora walczył pod Grochowem, a walczył zapamiętałej nawet, niż kiedy patrzył na niego sam cesarz Napoleon... lecz po tej wojnie zdjął już mundur na zawsze, na resztę życia.

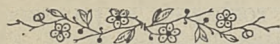
«Niegdyś z szablą w rękę przeszedłszy kraj świata,
Dziś weteran — na żyznym rodzinnym zagonie
Osiadł, *procul negotiis* *), na wzór Cincinata...

Widzę go, widzę dotąd... okiem duszy mojej...
Gdy mówią — «to, co zmarło, już nigdy nie wskrzesinie,
Prawem przemiany bytu gmach wszechświata stoi»,

*) Zdala od spraw.

Wtedy, złamany, nieraz widuję go we śnie,
 Pojawia się i troskom gwałt zadając własnym,
 Patrzy mi prosto w oczy swoim wzrokiem jasnym.
 W pogodny układając uśmiech twarz wąsatą:
 «Boli, synu, — powiada — a taki pluń na to —
 Kto zasię widział troskę dopuszczając w głąb duszy?
 Rażno a śmiało naprzód i do góry uszy!
 Dłużej klasztoru niżli przeora w klasztorze,
 A nad złość ludzką większe miłosierdzie Boże».

(Ze «Starej Gwardyi» K. I. Jasińskiego).



Dzwon — Zygmunt.

„Dzwon, Zygmunce. głośno, głośno...”

Do cennych zabytków przeszłości a zarazem osobliwości Katedry Krakowskiej należy między innymi dzwon o wspaniałym tonie, zwany „Zygmuntem”.

Król Zygmunt I (panował od r. 1506 do 1548) główny wskrzesiciel Zamku Krakowskiego nie pominął też katedry na Wawelu i między innymi darami, ofarował dzwon uznany za największy w Polsce.

Dzwon ten, odlany w roku 1520 przez nadwornego ludwisarza Hansa Behema, ma na sobie herby Litwy i Polski oraz wryty napis, świadczący, że imieniem patrona króla, Ś go Zygmunta, ochrzczony został.

Dzwony bowiem, jako sprzęty kościelne i narzędzia zwołujące na służbę Bożą są poświęcane i zwykle mają imię, którego ze świętych nadawane.

Do poruszenia dzwonu Zygmunta aż ośmiu silnych ludzi potrzeba i rzadko też poważny a piękny głos jego usłyszeć można.

Z tego powodu poruszaniem bywa tylko w największe święta i w wypadkach ważnych dla całego kraju, jak np. w czasie obchodu jakiejś wielkiej uroczystości narodowej lub też z powodu śmierci najwybitniejszych mężów.

Tonem swoim dzwon Zygmunt króluje nad wszystkimi dzwonami miasta i artyści oraz znawcy nie mogą się nachwalić harmonijności jego dźwięków.

Rycina w dzisiejszym numerze „Wieczorów” przedstawia kopię sławnego obrazu Jana Matejki. Malowniczo wyobrażona jest na nim chwila zawieszenia tego dzwonu na wieży Katedry na Wawelu w obecności całego dworu.

Indyane na samochodzie. Dziwne sprawia wrażenie widok czerwonoskórych z ich charakterystycznym ubraniem głowy na samochodzie, jak to często widzieć się zdarza w Ameryce. Coby na to powiedział Mayne-Read, gdyby zamiast szlachetnych mustangów takie widział wierzchowce u swych hohaterów?

Nowy prezydent Rzeczypospolitej francuskiej.

W myśl konstytucji francuskiej, na miesiąc przed upływem siedmioletniego terminu, na który wybrany został ostatni prezydent Rzeczypospolitej, dokonywa się wybór następcy jego. Termin ten przypadł 17 stycznia i w tym dniu zebrało się w Wersalu zgromadzenie narowe, złożone z 500 członków senatu, t. j. Izby wyższej i 590 deputowanych, celem dokonania obioru następcy p. Emila Loubeta.

Któż został tym następcą? Oto — dotychczasowy prezes senatu Armand Fallières.

Fallières pochodzi ze sfery rzemieślniczej — jest synem kowala, rodem z małego miasteczka Mezin w południowej Francji. Wcześniej odznaczył się, jako adwokat swą wymową, zdolnościami i pracowitością. — Był wielokrotnie ministrem i prezesem ministrów, oraz senatorem, a należał do wielbicieli i najbliższych przyjaciół Gambety, który w czasie wojny z Prusami stał na czele rządu narodowego.

Następca p. Loubeta będzie 10-ym z rzędu prezydentem trzeciej republiki francuskiej od czasu powstania jej t. j. od 4 września 1870 roku. Pierwszym był generał Trochu, który miał zresztą jedynie tytuł prezydenta rządu obrony narodowej. Po ukończeniu wojny, 17 lutego 1871 r., zgromadzenie narodowe w Bordeaux obrało prezydentem władzy wykonawczej Thiersa i nadało mu w sierpniu 1871 r. tytuł prezydenta Rzeczypospolitej. Thiers upadł d. 24 maja 1873 r.

Następnego dnia obrano na prezydenta marszałka Mac Mahona, który podał się do dymisji 29 stycznia 1879 roku. Nazajutrz obrał kongres Juliusza Grevy'ego. Po siedmiu latach spotkał Grevy'ego ponowny wybór, ale już w dwa lata później musiał ustąpić z wysokiego stanowiska. Było to w 1887 roku.

Dnia 3 grudnia tegoż roku nastąpił wybór, który przyniósł prezydenturę Carnotowi. Dnia 24 czerwca 1894 r. został Carnot zamordowany przez anarchistę.

W trzy dni potem odbył się wybór, na którym większość głosów otrzymał Casimir Perrier, lecz już w styczniu r. 1895 podał się do dymisji. Wybór padł na Feliksa Faure'a. Po nagłym jego zgonie, odbył się w lutym r. 1899 wybór, który osadził na republikańskim tronie ustępującego obecnie Emila Loubeta.

Loubet sprawować będzie rządu jeszcze miesiąc cały po wyborze nowego prezydenta, tak, że Francja przez ten czas będzie miała dwóch prezydentów. Dnia 17 lutego z uderzeniem godz. 12-iej w południe opuści pałac Eli-

zejski dawny prezydent, ustępując miejsca następcy swojemu. Władza prezydenta we Francji posiada zakres niewielki, raczej honorowy niż rzeczywisty, gdyż właściwie rządzi krajem gabinet ministrów, wybrany z łona większości izby deputowanych. Prezydent jest tylko przedstawicielem państwa na zewnątrz, podpisuje prawa uchwalone przez Izbę i Senat i nominacje, ale nie rządzi osobiście, jak np. prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.



JULIUSZ VERNÉ



Wśród Łotyszów.

Przekł. J. P.

(Ciąg dalszy).

II. Łotysz za Łotysza.

Belka, na której się zbieg nasz umieścił, stanowiła wał, połączony z kołem; do wału tego przytwierdzone były cztery drabiny, właściwie cztery skrzydła młynu, wznoszącego się na małym wzgórzu, niedaleko od miejsca, gdzie Embach zlewa swe wody z wodami jeziora.

Szczęściem w chwili obecnej młyn znajdował się w stanie spoczynku.

Czy jednak stan ten mógł trwać długo? Jeżeli nad ranem zerwie się wicher i zacznie obracać skrzydła, jak to się wtedy utrzymać na wale? Zresztą młynarz mógł dostrzedz obecność obcego człowieka w miejscu tak niezwykłym.

Nieznajomy rozumiał doskonale całą trudność swego położenia, nie myślał jednak o zejściu na ziemię, wilki bowiem nie odchodziły wcale od stóp wzgórza i w dalszym ciągu były straszliwie. Hałas ten piekielny mógł nawet zbudzić ze snu mieszkańców wioski.

Pozostawała więc jedyna droga ratunku, a mianowicie: dostać się do wnętrza młyna i — w razie gdyby ten był pusty zupełnie — spędzić tam dzień cały, a nad wieczorem puścić się w dalszą drogę.

Przesunął się ostrożnie do małego okienka w dachu, przez które przechodziła dźwignia ruchu.

Dach kształtem swym przypominał łódkę obróconą dnem do góry i spoczywał na okrągłakach; pozwalało to skierowywać przyrząd ruchu w stronę wiatru. Cały zaś budynek był nieruchomy w przeciwieństwie do młynów holenderskich, obracających się dokoła swej osi.

Zbieg przecisnął się ostrożnie przez wąskie okienko i znalazł się na małym poddaszu, gdzie umieszczony był wał poziomy, który za pomocą

systemu kół zębatach i drągą łączył się z kamieniem młyńskim, ustawionym na piętrze dolnym.

W izdebce panowała zupełna cisza i ciemność. Tuż przy ścianie z grubych tarcic znajdowały się strome schody, prowadzące na dół. Ostrożność jednak nakazywała pozostać na poddaszu. Zresztą głód i senność dokuczały biedakowi srodze. Spożył resztki żywności do ostatniej kruszyny. Nie kładł się jednak i czekał poranka.

Około pół do ósmej mgła się podniosła. Nieznajomy wychylił się z okienka i rozejrzał wokoło: na prawo ciągnęła się równina, pokryta brudnym, topniejącym śniegiem, przecięta drogą, biegnącą hen! w przestrzeń ku zachodowi; tu i owdzie sterczały pnie obnażonych drzew, ponad którymi unosiły się stada błotnego ptactwa. Na lewo lśniły lody Wierzierwu i Embachu.

Tu i owdzie zieleńły się jodły i sosny, odbijając jaskrawo od ogołoconych z liści, wynędzniałych olch i klonów.

Odetchnął lżej, przekonawszy się, że wilki opuściły już dawne stanowisko.

— Tak — rzekł do siebie — wilki odeszły, lecz większe jeszcze niebezpieczeństwo grozi mi ze strony policyi. W miejscowościach nadmorskich ilość agentów jest podwojona, trzeba się mieć na baczności... Umieram ze znużenia, nim zasną jednak, muszę obmyśleć ucieczkę w razie pogoni.

Rozjaśniło się zupełnie. Temperatura podniosła się o kilka stopni. Wiatr powiał od zachodu. Czy okoliczność ta nie skłoni młynarza do przystąpienia do pracy?

Najwyżej o pół wiorsty leżała niewielka wioseczka z szeroko rozrzuconymi domkami o dachach, krytych słomą, ubielonych śniegiem. Tam pewnie mieszkał i młynarz.

Po krótkim namyśle zbieg zeszedł ostrożnie na dół i zatrzymał się na dolnym piętrze w pobliżu kamienia młyńskiego. Dokoła ułożone były worki ze zbożem. Młyn więc nie był opuszczony.

Wobec tego rozsądek nakazywał wrócić do izdebki pod strychem i przespać się kilka godzin. Zostać na dole było niebezpiecznie. Dwoje drzwi zamykało się tylko na zwykłą zasówkę i w razie deszczu każdy przechodzień mógł tutaj szukać schronienia.

W parę minut później był już pod strychem, rzucił się na ziemię i zasnął głęboko.

Gdy się zbudził było już dosyć późno. Zapewne około czwartej. Młyn jednak stał ciągle.

Nagle uszu jego dobiegł szmer rozmowy prowadzonej z wielkim ożywieniem na piętrze dolnym. Już z pierwszych słów zrozumiał, kto się tam znajduje i jakiego niebezpieczeństwa uniknął — jeżeli uniknął — wracając na górę. Czy jednak uda mu się opuścić młyn przed lub po odejściu ludzi, których głosy słyszał w tej chwili?

Byli to agenci policyjni: podoficer i dwaj jego pomocnicy. W owym czasie rozpoczęła się właśnie rusyfikacja prowincji Nadbałtyckich, ulegających dotąd wpływom niemieczyny. Większą część policyantów stanowili rdzenni Niemcy. Pomiedzy nimi gorliwością i sprytem wyróżniał się podoficer Eck. Ze szczególną zajądlnością śledził sprawy kryminalne i polityczne. Każde powodzenie napełniało go dumą, każdy zawód — bólem. Tym razem czynił poszukiwania z energią gorączkową, szło bowiem o schwytanie Łotysza, który zbiegł z Syberyi.

Około godziny dziewiątej rano młynarz, widząc, że wiatr się zerwał, przyszedł do młyna, lecz nim się zabrał do wprawienia w ruch motoru, deszcz zaczął padać i wiatr ustał; nie wracał jednak do wioski w nadziei, że się wkrótce rozpogodzi. W parę godzin później we drzwiach młynu ukazał się Eck w towarzystwie dwu pomocników.

— Czy nie przechodził tędy — badał podoficer — człowiek lat około trzydziestu pięciu?

— Nie — odparł młynarz. — Nikt obcy nie zaglądał do naszej wioski. Czy to miał być cudzoziemiec?

— Nie. Łotysz.

— Łotysz... — powtórzył młynarz.

— Tak, łotr, którego pojmanie przyniesie mi dużo zaszczytu.

Dla policyanta każdy zbieg jest łotrem.

— Poszukujecie zatem zbiega? — pytał znowu młynarz.

— Od dwudziestu czterech godzin. Zdaje się bowiem, że go widziano na jeziorze Pejpus.

— A czy wiecie, dokąd on dąży — badał młynarz, ciekawy z natury.

— Naturalnie, że do jakiegoś portu — odrzekł Eck. Do Rewla a może do Rygi.

Rozumował słusznie. Zbieg najprawdopodobniej dążył do Rewla, ponieważ port ten odmarza najwcześniej. Lecz Rewel, jedno z najstarszych miast hanzeatyckich, zaludniony przez Niemców i Estończyków, znajdował się w odległości stu czterdziestu wiorst od młyna. Podróż więc zajęłaby dużo czasu.

— Dlaczego do Rewla? Jaby m sądził, że do Parnawy... — zauważył młynarz.

Istotnie odległość do Parnawy wynosiła zaledwie sto wiorst. Ryga zaś, oddalona o wiorst dwieście, leżała najdalej.

Łatwo sobie wyobrazić, z jakim skupieniem uwagi nieszczęśliwy zbieg przysłuchiwał się rozmowie.

— Tak — mówił podoficer, droga do Parnawy również jest strzeżona. Major Verder wszelako przypuszcza, że ptaszek uda się do Rewla, z kąd łatwiej będzie mógł odpłynąć.

Major Verder był szefem policyi inflanckiej i gorliwym germanizatorem.

Rozmowa ciągnęła się kilka minut jeszcze w tym samym duchu. Eck zostawił rysopis zbiega: wzrost więcej niż średni, budowa silna, lat 34, gęsta blond broda, kaftan brunatny.

— Raz jeszcze zapewniam panów — oświadczył młynarz, że człowiek ten. . . Łotysz, zdaje się.

— Tak, Łotysz.

— Otóż, człowiek podobny do rysopisu, nie ukazywał się wcale w naszej wiosce i w żadnym domu niczego się o nim nie dowiecie.

— Pamiętaj — przerwał Eck — że każdy, kto mu udzieli przytułku, będzie uwięziony i traktowany jak jego współnik!

— Niech Bóg nas od tego zachowa! Wiem, co mi grozi i z pewnością na niebezpieczeństwo się nie narażę.

— Dobrze zrobisz — dodał Eck, źle jest zadzierać z majorem Verderem.

— Będę się tego strzegł!

Wreszcie policyanci zaczęli się żegnać, mówiąc, że rozpoczną dalsze poszukiwania na drogach, prowadzących do Rewla i Parnawy.

— Tymczasem — rzekł młynarz, mam do was prośbę. Wiatr się wzmaga. Wieje od południo-zachodu. Pomóżcie mi zatem skierować skrzydła ku wschodowi. Nie będę wracał do wioski i zostanę tutaj na całą noc.

Eck przystał chętnie. Wyszli wszyscy przez drzwi przeciwległe, uchwycili dźwignię zewnętrzną, obrócili dach i skierowali motor w stronę wiatru.

Wkrótce skrzydła zaczęły się obracać szwobko. Eck i jego pomocnicy odeszli ku północozachodowi. Zbieg nie uронił ani jednego słowa. Wiedział już, że jest śledzony... Że cała policja jest w ruchu... że na każdym kroku czyha nań niebezpieczeństwo... Czy uda mu się dotrzeć do Rewla?... A może lepiej skierować się ku Parnawie?...

Wobec tego, że temperatura tak znacznie się podniosła, wszystkie porty i na morzu Bałtykiem i w zatoce Fińskiej prędko wolne będą od lodów.

Przedewszystkiem należało wydostać się z młyna jak najprędzej. Lecz w jaki sposób odejść, nie zwracając na siebie uwagi młynarza, który wobec pomyślnego wiatru zostanie tutaj na całą noc. Nawet marzyć nie można o zejściu na piętro dolne i wymknienie się przez drzwi... Pozostawała droga jedyna: prześliznąć się przez to samo okienko i, chwytając się występów dachu, dopełznąć aż do wielkiej dźwigni a potem spuścić się po niej na ziemię. Była to rzecz bardzo trudna, ale możliwa, szczególnie dla człowieka obdarzonego energią i ogromną siłą fizyczną.

Do zmroku pozostawała jeszcze godzina. A gdyby w przeciągu tego czasu zaszedł do

izdebki młynarz? Co zrobić wtedy? Chyba rzucić się nań odrazu, zakneblować mu usta, a w razie sporu zagrozić nożem... Krzyki bowiem sprowadzić mogły innych mieszkańców wioski.

Lecz po co zaprzętać sobie głowę podobnymi myślami?... Może młynarz nie zajrzy tu wcale, ma przecież tyle zajęcia przy kamieniach... Może się obejść bez krwi rozlewu...

Godzina minęła wśród skrzypu skrzydeł, zgrzytu kół zębatach, poświstu wichru i żałosnego jęku mielonego zboża. Zmrok już zapadał. W izdebce panowały ciemności. Zbliżała się chwila decydująca. Tej nocy zrobić musi wiorst czterdzieści, nie należy więc zwlekać z odejściem.

Obejrzał nóż i nabił rewolwer.

Najtrudniej było przesunąć się przez okienko i nie dostać się pomiędzy koła zębate mechanizmu. Zbliżał się już ku ścianie zewnętrznej, gdy nagle na schodach dał się słyszeć lekki szmer kroków. To młynarz wstępował ostrożnie z latarką w rękę. Zbieg pochwycił rewolwer i gotował się do obrony. Wtem usłyszał głos, tchnący życziwością:

— Teraz najlepsza pora do ucieczki... Spiesz się.. drzwi otwarte...

Ponad podłogą ukazała się najpierw głowa, a potem ramiona młynarza. Poczciwe oczy spoglądały na zbiega przyjaźnie.

Ten milczał zdumiony. A zatem młynarz wiedział o jego obecności na poddaszu. Widocznie wchodził na górę i zastał go śpiącym. Lecz ani jednym słówkiem nie zdradził się przed policyantami. I nic dziwnego... Był przecież tak samo Łotyszem. Poznać to można było odrazu z rysów twarzy.

— Schodź prędzej — powtórzył łagodnie.

Zbieg poszedł za młynarzem. Serce mu biło gwałtownie.

Gdy się znaleźli na dole, poczciwy człowiek dał mu kawałek chleba i mięsa na drogę.

— Widziałem, że torba twoja jest pusta, faszka również. Napełnij ją wódką i, niech Bóg cię prowadzi...

— Gdyby jednak policya...

— Staraj się, by na trop twój nie wpadła... o mnie się nie troszcz, dam sobie radę... Nie pytam cię o nazwisko... wystarczy mi, że jesteś Łotyszem... a nigdy Łotysz nie wyda Łotysha w ręce Niemców.

— O dzięki ci, dzięki... — wyszeptał nieszcześliwy.

— Spiesz się... Niech Bóg cię ma w swej opiece i wybaczy winy, jeżeli zgrzeszyłeś!

(d. c. n.)



Skrzynka do listów.

Listem kochanej **Dumki** zaczynam dzisiejszą skrzynkę, gdyż zawiera on wiele uwag nad ubiegłym rokiem 1905-ym, które poruszają i inni korespondenci moi, a na które oddawna odpowiedzieć pragnęłam. Dumka — to wyłącznie drogie mi piskłę, żałuję, że wyfruwa do Jazłowca razem z kochaną **Elżunią W.**, ale dla czegożbyście w klasztorze nie miały odbierać «Wieczorów», sądzę, że korespondencya nasza przerwać się nie powinna, owszem, proszę donosić mi o życiu waszem, tak różnem od tego, jakie pędzą dziewczęta uczące się w Warszawie. Masz słuszość, że rok ubiegły smutnym zamknął się bilansem, tyle nędzy, takie panowanie zła i nienawiści, a to wszystko w imię najszlachetniejszych haseł poprawy bytu biedaków.

Ale na szczęście masz słuszość i w tem, że nie tracisz nadziei w lepsze jutro. Jest niebezpieczeństwo dla społeczeństwa, bo pracujący lekceważą często pracę, bo nie rozróżniają sprawiedliwych od niesprawiedliwych żądań, bo zamiast wielkich, ogół narodu obejmujących haseł, nauczyli się walkę klasową na pierwszym stawiać planie. Wszystko to prawda, niemniej rok 1905 obudził do czynu tysiące dusz drzemających, wlał zapał w zdrewniałe czterdziestoletnią beczynnością umysły; a zapał, jak słuszenie powiedział redaktor «Wieczorów» w ślicznym wierszu z drugiego numeru naszego pisma: «Zapał to krew, co w młodem kipi łonie, to święty Znicz, co wiecznym ogniem płonie.» Ktokolwiek więc czuje się Polakiem, niech w imię dobrze zrozumianej miłości ojczyzny, pracuje nad oświatą ludu, nad zaszczepieniem cnoty w narodzie, nad obudzeniem poczucia honu ru w tłumach obalamucanych i ciemnych. I niech się liczy sam z sobą czy istotnie jest bratem każdego biedaka, czy czuje jego nędzę jak własną, czy stara się jej zapobiedz wedle sił. Twardy czynimy rachunek sami z sobą, aby nie powiedziano o nas, jak to miało miejsce niedawno w jednym z pism, «że przez patryotyzm rozumiemy tylko śpiewanie pieśni ubieranie się w konfederatki i nienawiść ludzi innej narodowości». Nie, my przez patryotyzm rozumiemy miłość wszystkich braci, społeczeństwo ojczyzny składających, chcemy dla ich dobra pracować i żyć w imię tych samych haseł i symbolów, które przyświecały naszym ojcom na krwawych polach ich zasługi. Szanujemy «uznane zło robotnika», bo wart czi, kto chleb swój zdobywa uczciwą pracą, ale wierzymy, że ten robotnik sam pierwszy «uchylił głowy» przed symbolem chwały narodowej, bo on tę chwałę odczuć umie i jest mu jej wspomnienie radością w znojmym dniu pracy.

Czy godziło się **Wielbieleko** milczeć tak długo i tak uparcie? Jaskółka nieraz, nie sto razy łamała swój ptasi łebek czemu piskłę zapomniało o niej? a piskłę pod zmienionym pseudonymem, zjawia się dziś nareszcie. Witaj, figlarko, tyle w tym liście wiadomości, że nie wiem o czym wprzód pisać, czy chwalić cię za zapał do nauki, skoro, prócz obowiązkowych lekcji uczysz się łaciny i języka japońskiego, czy zachęcić, abyś ojczyzny w lepszym miała poszanowaniu i pamiętała, że wyrazów *długo* i *drugich* nie należy pisać przez *ó* tylko przez *u*. Wolę zapytać przedewszystkiem o tego brata, o którym tak pochlebnie piszesz słowa «że pełny miłości dla drugich». Niechże mu Bóg pozwoi goić tą miłością rany, których tyle w tym czasie zadała nienawiść.

Ucieszyłaś mnie **Podolanko** wiadomością, że Władzia przyjeżdża do Warszawy, bo widać zdrową

jest już kochana twoja siostra i da Bóg niedługo będziesz druchną na jej ślubie. Proszę cię też usilnie o obszerny list, pisz wszystko, co cię boli i dużo szczegółów o rodzinie. Co zaś do «Wieczorów», to mają one daleko starszych od ciebie czytelników i nie wątpię, że zawsze tak będzie, gdyż redakcja dokłada starań, aby uczynić je nie tylko interesującym, ale prawdziwie pożytecznym i aktualnym pismem. Artykuły p. Balińskiego w kwestyach Dumy, wyborów, szkół, nauczyć mogą bardzo wiele, toż samo powiedzieć należy o dziele przyrodniczym i literackim. A czyż nie uśmiechnęłaś się radośnie na widok wiecu ludowego (N. 2 «Wieczorów»), tych Piastów naszych, których sukmany i długie włosy przenoszą myśl w odległe czasy, kiedy kmiecie Wielkopolscy śpieszyli do Kruszwicy, żeby lepszy ład zaprowadzić w kraju. I jakże nie być wdzięcznym redakcji za szlachetny kierunek i staranność wydawnictwa.

Dzieciom z zakładu Sióstr Miłosierdzia w Rohatynie dziękuję za życziwe słowa, szkoda tylko, że dzieciaki nie przysyłają własnoręcznych i własnym pomysłem pisanych listów. Zawiązałyby się tym sposobem bliższa znajomość między Jaskółką a jej kochanymi korespondentami. Życie dzieciaków w zakładzie jest inne od życia dzieci, wychowywanych przez rodziców, a młodzież Polska w jakichkolwiek rośnię warunkach, kochać się i znać powinna, więc proszę gorąco szanowne Opiekunki Rohatyńskiego zakładu o ułatwienie tego poznania.

Halunce i Jadziulce H. dziękuję z całego serca za dar dla biednych dzieci. Dar ten okupiony został wielką ofiarą, bo Halunka i Jadziulka wyrzekły się choinki, żeby mieć czem nakarmić głodnych nieznanym braciśzków i siostrzyczki. Ci nieznani, nieznany a kochany przesyłają za pośrednictwem Jaskółki serdeczne podziękowanie. Jakże chętnie stary ptak odniósłby je sam dobrem dziewczynom i świegotał z nimi o głodnych, o tem, że choinka, której nie zapaliłyście w tym roku, będzie wam najjaśniej ze wszystkich świecić wspomnieniem.

Nie, **Cyganko**, nie zmienię twego pseudonimu, bo pod nowym napisałaś nic nieznaczący list, a dawny zawierał wiersz do Matki Boskiej, który ci przypomnę, gdyż warto, abyś go zapamiętała:

«Składamy Ci dzięki, za te blaski nowe,
«Którymi ku nam świecisz z szczytu Jasnej Góry,
«O Matko Najświętsza chroń ojczystą mowę!
«O to Cię błagają Polski wierne córki.»

Taką to modlitwą odzywałaś się do mnie, **Cyganko** i ja ją powtórzyłam dziś, prosząc o obszerniejszy, a także, bo i to ważne, staranniej napisany liścik.

Znam cię, **Myszko figlarko**, choć uciekasz tak szparko, wiem kto jesteś, ale nie powiem. Jaskółka to dyskretny ptaszek. Nie powiem nikomu i buremu kotowi, broń Boże! Nuż pokaże pazury i wyciągnie mysz z dziury, byłaby szkoda grzecznej panienki, co choć czasem grymasi i przed lekcją kryje się, jak prawdziwa myszka, ale ma dobre serduszek. Jestem też pewna, sama zrozumie, że uczyć się trzeba koniecznie, że nauka to wielkie szczęście. Nie wierzysz temu, **Myszko**? Otóż spróbuj codzien cierpliwie przez kwadrans posiedzieć

przy elementarzu, a powiesz mi niedługo, zaręczam, że umieć czytać samej historyjki ze ślicznej książeczki—to rzecz bardzo przyjemna.

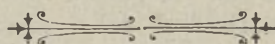
«Żegnajmy się przyjaciele ze starym rokiem,

«Czemuż on od nas odchodzi tak szybkim krokiem»
pisze **Marya Janina**, a list jej dostał się w moje pazurki wtedy, kiedy już połowa stycznia upłynęła i dawno przebrzmiały noworoczne kolendy. Ale za życzenia twoje dziękuję ci, **Maryo Janino**, daj Boże, byś poezją swą zagrzewała mogła serca do czynów szlache-
tnych, pamiętaj jednak, że:

«Być poetką to niekoniecznie
«Układać myśli w udatne wiersze,
«Poezya czynu żyje w nas wiecznie
«I od pisanej ma pole szersze.
«Tylko nam także w niej żyć potrzeba,
«Niechaj się z każdą minutą splata,
«A poprowadzi duszę do nieba,
«Jeśli nie zrobi nieba ze świata.»

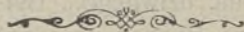
Poezyi czynu pragnie dla swych piskląt

Jaskółka.



Ze szkół i uczelni.

W wielu szkołach i pensjach prywatnych odbywa się w ostatnich czasach raz lub dwa razy na miesiąc popołudnia muzykalno-deklamacyjne, na których uczniowie i uczennice sami występują z odczytami, deklamacją, muzyką i śpiewem. Popołudnia te cieszą się wielkim powodzeniem i w każdej szkole znajdują się utalentowani prelegenci i wykonawcy. Prosimy bardzo czytelników naszych o nadsyłanie nam sprawozdań z tych popołudni.



ŻARCIKI.

Wyjaśnienie.

— Dlaczego ten ocean taki niespokojny?—
pyta pasażerka kapitana statku.

— A pani czyby spokojnie leżała na łóżku pełnym ostrych skał?

TREŚĆ:

Dola (wiersz), przez Idę Pilecką.—Obrazy z piśmienictwa polskiego, przez M. Dynowską.—Koleżeństwo szkolne, przez B. Wahniera.—Czternastoletni wojownik, przez M. Strebejkową.—Dzwon—Zygmunt.—Nowy prezydent Rzeczypospolitej francuskiej.—Wśród Łotyszów, przez J. Verne'a.—Skrzynka do listów.

Dodatek: Dobre serce.—Chronologia Królów Polskich (wiersz), przez Arycę.—Pamiętnik młodego pajaka, przez St. Krauzę.—Z teki/powinśzowań (wiersz), przez Z. Z.—Wesoła czwórka, przez Lubliniankę.—Zadania i łamigłówki.

Ogłoszenia: po 15 kop. za wiersz petitowy jedno szpaltowy.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek.

OGŁOSZENIA: po 15 kop. wiersz 1-oszp. petitu.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Wydawczyni **Marya z Chomentowskich Balińska**.

W drukarni **E. Szyllera**, Nowy-Swiat 26.

WIECZORY



RODZINNE.



Dobre serce.

Przez zapotniałe okno Kazio i Lola codziennie widzieli siedzącego na dachu małego wróbelka,

Deszcz padał, wicher wył strasznie, zrywając resztki pożółkłych liści z samotnych smutnych drzew... a mały wróbelek przytulony do ściany wielkiej kamienicy, drży z zimna na daszku parterowego domku.

Biedny, biedny wróbelek...

Tak myśli Kazio — i głos mu drży łzami współczucia nad nieszczęśliwą dolą biednego ptaszka.

Dlaczego on taki sam? gdzie jego mama? jak jemu musi być smutno... kiedy taki silny wicher huczy na świecie... i deszcz pada... Ka-

zio uczuwa ochotę w jakikolwiek sposób osłodzić życie wróbelkowi... — ale jak...?

Długo... myśli... i myśli napróżno... bo gdyby go mieć w ręce... ach...! to zupełnie co innego... Wpuściłby go do klatki z kanarkiem, dawałby mu jeść to samo co kanarkowi, biskopciki... cukier... i byłby biedny ptaszek napewno szczęśliwy...

A tak?... drży z zimna na wietrze i mrozie, ani przypuszczając, że tam przyciśnięta do szyby główka chłopca roi tysiące planów jakby mu zapewnić szczęście.

Nagle Kazio klaszcze w ręce skacząc śpiewa na nutę wesołej poleczki.

— Już wiem, już wiem!... już wiem!.. Ale szal!...

Ogląda się niespokojnie. Nie trzeba nic mówić naprzd, bo jeszcze Lolka gotowa pokrzyżować plany... bo gniewa się jeszcze za tego porwanego wczoraj pajaca...

A Kazio myśli...

Dam Frankowi od stróża tę srebrną dziesiątkę od tatusia... to mi złapie wróbla... nie tego, to innego każdy jest biedny, i każdemu zimno, on umie łapać wróble na siłki... zastawi... cap, i jest śliczny szary wróbel. Dopiero to on będzie szczęśliwy... gdy się znajdzie... w pięknej klatce, nie będzie czuł zimna, ale miłe ciepło naszego mieszkania.

Kazio całuje w myśli małego wróbelka, który już mu się wydaje ogromnie szczęśliwym — i sam skacze z radości...

Któregoś dnia Franek przynosi wróbla. Boże jaki on biedny. Akurat tego dnia padał deszcz... lały się potoki wody z ciemnych ocieźających chmur... wlokących się po szarym niebie...

Ptaszek był mokry, miał pozlepiane piórka. Kazio delikatnie pocałował go w łepkę, posprzeczwał się Lolą, która sama chciała wpuścić ptaszka do klatki z kanarkiem.

Potem oboje usiedli przed klatką, patrząc co robi wróbel i kanarek.

A wróbel?... najpierw wpadłszy z impetem, zgłupiał zobaczywszy w około siebie długie pionowe druty, a potem zaraz dziobnął w łeb złotego kanarka, którego jaskrawy kolor zupełnie mu się nie podobał... Weisnął się w kąt

i myślał nad swoim nieszczęsnym losem, o wiecznem więzieniu... i posmutniał bardzo.

Upłynęło dni parę, kanarek zupełnie prawie wyłysiał, bo mu wróbel wszystkie piórka wydarł... sam zmizerniał... a dzieci były coraz szczęśliwsze, zwłaszcza Kazio, wydał srebrną dziesiątkę ale przynajmniej wróbla uratował od głodowej śmierci... Bo coby on tam jadł... kiedy zimno i deszcz... a potem śnieg... a tutaj jest na pewno szczęśliwy.

Ale wróbel uciekł. Skorzystał z chwili gdy klatkę otworzono i wyfrunął... heu... w szeroki świat... Nie przerażała go zima, nie przerażał śnieg, nie chciał klatki..

Kanarek odetchnął uszczęśliwiony, a Kazio zapłakał:

— Biedny on, zmarźnie... — a potem nagle złość go wzięła na ptasią niewdzięczność, na zmarnowaną srebrną dziesiątkę i krzyknął:

— Głupi, niewdzięczny wróbel!

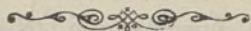
I był pewny, że ma rację.

A wiatr znów się zerwał i wałąc o szyby zimnemi deszczowemi kroplami — dzwonił:

— Głupi, niewdzięczni ludzie:

I także był pewny, że ma rację...

St. K.



Chronologia Królów Polskich.

(Ciąg dalszy.)

OKRES II.

Polska wzrastająca.

Gdy z pomroku dziejów naszych,
Błysł zwycięsko Krzyż ten święty,
Który strzeże progów Laszych,
Śmiało wiodąc w lat odmetry,

Baśń się kończy — a zaczyna
Nowe życie — nowa era,
Święta bowiem to nowina,
Wrota chwały nam otwiera.

Wy! co śpicie pod mogiłą,
Wielcy, sławni monarchowie!
Sercem mężni, dumni siłą,
Naszej Polski — wy Królowie!

Wy! co ziemię naszą dawną
Ozdobili swemi czyny,
Wytwarzając przeszłość sławną,
Cześć wam, ziemi naszej, syny!

Cześć wam, mądrzy, cześć wam, mężni,
Czoło swe przed wami chyle;

Świeci dla was, o potężni,
Promień sławy i w mogile!

Głowa myślą przeszłość goni,
W duszy okres trudów składa,
I wypływa z mroków toni,
Bohaterów cnych gromada!

(d. c. n.)

Aryela.



Pamiętnik młodego pająka.

BAJKA

przez Stanisława Krauza.

(Dokończenie.)

Nie mogłem już tej nocy spać, więc wybrałem się na spacer po kuchni, chcąc zwiedzić jej zakątki. Przez szyby okna wpadał do kuchni promień księżycy i widać było wszystko jaknajlepiej. Idę sobie po podłodze aż tu jakieś dźwięki dochodzą do mnie z kącika koło komina. Skierowałem się w tamtą stronę i po paru minutach dzięki moim ośmiu długim nogom znalazłem się już na miejscu. I cóż widzę? Oto cała gromada prusaków kręci się w tańcu w takt zabawnej muzyki: kilka prusaków z zapałem uderza łebkami w blaszany kubeczek, stojący pod kominem. A to sobie znaleźli muzykę! Ale cóż to za święto, że te robaczyska tak się bawią? Zbliżyłem się do tańczących i pytam pierwszego z brzegu.

— Mój panie prusaku, cóż to za zabawa się tu odbywa?

— Znaleźliśmy zdechłą mysz, panie pająku, i urządzamy ogólną ucztę. Prosimy do stołu.

— Dziękuję — odrzekłem — dopiero niedawno kilka much zjadłem.

Każdy wie zapewne, jak wyglądają prusaki. Są to krewni karaluchów, tylko mniejsi i nie czarni, lecz o brudno-żółtym kolorze. Znane to żarłoki i w każdej prawie kuchni jest ich niemało. Przypatrywałem się czas jakiś ich tańcom, ale gdy na blaszanym kubeczku zagrali polkę, mój ulubiony taniec, nie mogłem ustać na miejscu. Grzecznie podsunąłem się do jednej panny prusakówny i poprosiłem ją do tańca. Uśmiechnęła się lekko, zapewne z moich długich nóg, lecz do tańca poszła. Szło nam niesporo, bo moja dama nie mogła nadążyć za mną: wyobraźcie sobie nogi pająka i prusaka w tańcu. Pomimo to jednak tańczyłem długo i z ochotą, bo aż do ranka. Dopiero wtedy, gdy na oknie świt się pokazał, całe towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Prusaki po-

właziły do swoich szczelin za kominem, a ja powędrowałem dalej po kuchni. Widno się już zrobiło, a pierwsze promienie słońca zajrzały do okna. Zapraгнаłem zobaczyć, jaka dziś pogoda, więc wdrapałem się na okno. Wędruję po ramie okiennej aż tu słyszę dziwne jakieś stukanie pod moimi nogami. Kto to puka? — pytam się. To ja, kołatek — odpowiada mi głos z wnętrza drewnianej ramy — nie znasz panie pająku kołatków. Przecież nieraz słyszałem, gdy było cicho w pokoju, ich kołatanie w drzwiach. Są to niewielkie robaczki, które wywiercają sobie korytarze w drzewie i ich to wiecznie słyszać, gdy się do okna lub drzwi przyłoży ucho. Psotniki to nielada! Jak się dostaną do jakiego drzewa, to tyle w nim wywiercą korytarzy, że drzewo we środku jest prawie zupełnie puste. Cóż tam u was słyszać w kuchni? — odzywa się znów ten głos ze środka ramy — dawno już nie wychodziłem na światło i nie wiem, czy moi znajomi jeszcze żyją. Jak się zobaczysz z pajakiem, co ma siatkę na suficie, to mu się ode mnie kłaniaj. Przrzekłem to kołatkowi i pomaszzerowałem dalej. Z okna widać było podwórze, a dalej ulicę i pola hen! daleko. Oj te pola! Żeby się na nie teraz dostać! Ale cóż, kiedy zimno i trzeba siedzieć w pokoju. Tak sobie rozmyślałem i nic nie widzę, że do mnie się jakiś potwór skrada. Gwałtu! To ręka mego gospodarza! Chcę zmykać czempredzej, ale już za późno! Palce jego trzymają mnie mocno i niosą w powietrzu. Co się teraz ze mną stanie?

No, odetchnąłem spokojniej! Palce trzymające mnie jak w kleszczach puściły na podłogę. Nie mogę powiedzieć, żeby mi było przyjemnie spaść z tak wysoka, ale zawsze to lepiej niż być na śmierć zgniecionym. Widocznie żal się zrobiło memu gospodarzowi i darował mi życie. Ja mu przecież żadnej szkody nie zrobiłem. A, prawda, brałem mu atrament, no to już teraz nie będę brał.

* * *

Na tem się kończył pamiętnik młodego pająka. A szkoda wielka, bo mógłbym się z niego jeszcze dużo ciekawych rzeczy dowiedzieć. Nie żałowałbym na to nawet całej flaszeczki atramentu. Nie gniewajcie się na mnie czytelnicy, że wam opowiadam o karaluchach, pluskwach i innych robakach, któremi się może brzydzicie. Ale nie trzeba się brzydzić, bo te stworzonka wcale nie są takie brzydkie, tylko trzeba im się bliżej przypatrzeć. Życie ich jest bardzo ciekawe.



Z teki powinszowań.

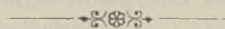
I.

Poproszę ja gwiazdek
Na pogodnym niebie,
Żeby matuś droga, (ojcze drogi)
Świeciły dla ciebie.

Poproszę ja słońka
O promiennej twarzy,
Niech pogodą cudną
Każdy dzień twój darzy.

I poproszę Boga,
Niechaj mi dozwoli,
Szczęściem być dla ciebie
I ośłodą doli.

Z. Z.



Wesoła czwórka.

przez

Lubliniankę.



(Ciąg dalszy.)

II

Przyjazd.

Tymczasem w Topolce z niecierpliwością oczekiwano przybycia chłopców.

W jadalnym pokoju nakryto już do kolacyi, na „górcę“ przygotowano dla gości łóżka, wujostwo z niepokojem spoglądali na zegar. Wicek i Renia raz wraz wybiegali na podwórze nasłuchując, czy nie turkoce już powóz w topolowej alei — ale wszystko było napróżno.

Ani powozu, ani chłopców, tylko noc coraz ciemniejsza rozcielała się dokoła.

— Boże, Boże, czy aby nie spotkało ich jakie nieszczęście! — szeptała dobra ciocia z niepokojem.

— Nie rozumiem, dlaczego Józef nie wraca? Muszę wyjechać na ich spotkanie.

I wuj zaczął już wciągać wielkie, myśliwskie buty, które służyły mu zawsze do konnej jazdy, gdy nagle drzwi od sieni rozwarły się gwałtownie i Wicek z Renią, jak wicher, wpadli do pokoju.

— Jadą! jadą!

W chwilę potem Jurek i Bąbelek zabłoceni, przemoczeni i zziębnięci rzucali się już w objęcia domowników Topolki.

— Czemu tak późno przyjeżdżacie?!

— Bąbelek! czemuś ty taki strasznie zabłoczony?

— Co to?! wasza bielizna? ależ to wszystko było w błocie!

— Bąbel, gdzieś sobie tak twarz podrapał?— krzyżowały się na wszystkie strony zapytania i wykrzykniki.

— Ach, bo nie było na stacyi koni...

— I szliśmy tu piechotą, coraz było ciemniej...

— Bąbel wpadł do rowu w błoto po sam pas!

— A potem myśleliśmy na Józefa, że to cygani!—odpowiadali bezładnie jeden przez drugiego chłopcy.

— Co za szczęście, że się tylko na tem skończyła wasza przygoda!

— Chodźcie, chodźcie, trzeba zdjąć buci-ki, ubranie... Ach, jakie to wszystko mokre!

Wkrótce rozebrano chłopców i położono do łóżka, gdzie Marysia z pomocą Wicka i Reni przyniosła chłopcom kolację.

— Moi drodzy, opowiedzcie o swoich przygodach! — prosiła Renia, kręcąc się po pokoju i usługując braciszkom.

— Ach, Reniu, to było straszne! Zimno, aż nam ręce zgrabiały, błoto na pół łokcia, ciemno, pustka a my tu sami na polu!.. opowiadał tragicznie Bąbel.

— Ha, ha, ha!.. ażebyście wiedzieli, jak on się gramolił z rowu! na czworakach, jak ropucha! — śmiał się Jurek.

Bardzo późno tego wieczoru pogasły światła w Topoleckim dworku.

III.

Wyprawa do lasu.

Drzwi, prowadzące do dzieciennego pokoju, uchyliły się zwolna i Jurek ostrożnie, rozglądając się naokół, wsunął do pokoju głowę.

— Pst, pst!.. Renia! — zawołał przyciszonym głosem.

— Już idziemy?

— Już, już, chodź... koło furtki.

Renia pospiesznie włożyła szubkę i wymknęła się do ogrodu.

Koło furtki czekali już na nią trzech chłopcy.

— No, dalej w drogę, mamy do lasu dobre dwie wiorsty, zakomenderował Wicek.

— A czy zdążymy wrócić na obiad?

— Naturalnie, teraz dopiero dziesiąta!

Wesoła czwórka szybkim krokiem pusiła się przez ogród.

Wokół dzieci, drzewa i krzaki przyprószone śniegiem ślicznie błyszczały w słońcu. Dzień był pogodny, na północy tylko gromadziły się ciężkie, szare chmury.

Długie milczenie przerwał pierwszy Bąbelek.

— Wiecie co, trzeba było powiedzieć cioci, że idziemy do lasu.

— E, możeby ciocia nie pozwoliła...

— A przecież nic nam się złego nie stanie. Wrócimy z Walkiem i Stachem, którzy pojechali do boru po gałęzie. (d. c. n)

Zadania i łamigłówki.

Logogryf.

ul. D. dla F. B.

Zamiast kropek i gwiazdek postawić należy litery tak, aby środkowe litery każdego wyrazu czytane z góry na dół utworzyły nazwę miasta w Królestwie.

K a w o n
 w a r
 W a r s z a
 o w a d
 t y x p
 o w a d
 m i e j s c o w o ś ć
 m o s k a

Znaczenie wyrazów: 1) smaczny owoc, 2) inaczej ukrop, 3) rzeka wpadająca do Wisły, 4) owad, 5) naczynie stołowe, 6) skorupiak, 7) miejscowość pod Warszawą, 8) roślina ogrodowa.

Litery: 9a, 2e, 4k, 1n, 2a, 2o, 4r, 1s, 6w, 1z.

Zagadka.

ul. D., dla «Podhalanki».

Jestem sobie kwiatem
 Lecz mam dwa znaczenia:
 Gdy mnie weźmiesz w drugim
 Będę do klejenia.
 Znajdziesz mnie najczęściej,
 Wśród kopert listowych,
 Lecz jestem też w rządzie
 Kwiatów doniczkowych.

Homonim.

ul. D. dla «Jaskółki».

Jestem zaimkiem
 Lecz gdy mnie zmienicie
 Zamiast / litery
 Y położycie.
 To się wnet przemienię.
 Każdy w to uwierzy,
 Bo zamiast zaimka
 Będzie nazwa zwierzy.

Rozwiązania do N-ru 1-go.

Liczbówki: Nowy Rok.

Przeplatanki literowej: Na Nowy Rok przy-bywa dnia na barani skok.

Zagadki: Pokój.